

Stanisław Kwiatkowski

Antyrama

fragmenty

O ojcu mogę powiedzieć tylko tyle, że go nie cierpiałem, gdy byłem młody. Ciągłe czegoś ode mnie chciał i wymagał, zaganiał do roboty, będąc przy okazji wyśmienicie zakamuflowanym nauczycielem matematyki. A to kazał zbierać stonkę z ziemniaków i ją dokładnie dodawać do słoika, mówiąc przy tym: „Ucz się arytmetyki, dzieciaku, nie licz na innych”, a to kosić chabazie za stodołą, na których szlifowałem technikę zbliżania się po dyskretnej asymptocie do krzywej granicy działki sąsiada, zanim zostaną dopuszczony do miękkiego i wypicowanego trawnika nieopodal domu. Obawiał się zapewne, że go przytnę nierówno przy suficie, że wyjdą jakieś trapezy, a to miał być przecież prostokątny dywanik, najpiękniejszy we wsi, więc ciągle powtarzał: „Jeszcze nie czas, najpierw musisz opanować do perfekcji kąt ułożenia kosi i własnego ciała względem ziemi”. Niestety, niedługo potem do użytku weszły kosiarki spalinowe i elektryczne, tnące równoległe do gleby wszystko jak leci, więc skończyłem z nauką trygonometrii. Zgodnie z topologią naszego zdeformowanego podwórka, w skład którego wchodziło

kilka mniejszych pagórków i jedna większa górka, poznawałem oczywiście inne działy matematyki, bardziej współczesne. Wczesną wiosną zajmowałem się najczęściej analizą funkcjonalną. Siedząc w żelbetonowej piwnicy przebierałem kartofle: „Ten będzie dobry do sadzenia, ten do jedzenia, a ten zgniły pójdzie dla świni”. Stałem się również biegły w rachunku prawdopodobieństwa. Całe wakacje rąbałem drewno. Raz trafiłem w polano, nieraz w kciuk, a niekiedy w piszczel, w zależności od tego, jak mocno byłem wkurwiony, a na ile spokojny i skoncentrowany na trzonku siekiery. Przed nastaniem pory deszczowej, gdy liście na drzewach zaczynały płonąć w oddali jak żyrafy, a w powietrzu baby fruwały na pajęczynach, przychodził czas na odświeżenie wiedzy z zakresu teorii zbiorów podszytych grecką mitologią i chrześcijańską etyką. W weekendy nigdy nie mogłem się wyspać. Lekcje odbywały się bladym świtem, ponieważ do lasu musieliśmy dotrzeć przed innymi Argonautami. W przeciwnym wypadku nawet wielka szpula nici Ariadny nie byłaby w stanie zaprowadzić nas choćby w pobliże jednego złotego runa, czyli szlachetnie urodzonego grzyba. O tej bandyckiej porze jedynie znikoma ilość światła docierała do głowy. Cienka warstwa szarej substancji zlewała się z burym podłożem

lasu, więc zbierałem po omacku to, co wystawało spod mchu i paproci. Mieszałem ze sobą najrozmaitsze gatunki z królestwa dobra i zła. Łażąc na czworaka, wyglądałem zapewne jak święty Augustyn w okresie wczesnego manicheizmu. Zamiast borowików ojciec wyciągał najczęściej z mojego koszyka kilkadziesiąt silnie trujących kapeluszy. Zniesmaczony kręcił wąsem: „Oj, niedobrze, znów pomyliłeś prawdziwka z szatanem”; na co z żalem w głosie, niemal płacząc, wołałem na puszczy: „Ależ tato, ja jeszcze nie chodzę do siódmej klasy!”. Wraz z zimą, prócz przenikliwego mrozu zakradającego się do domowego ogniska, zjawiała się również przeraźliwa nuda, ponieważ Bronisław nie miał prawie nic do roboty. Spędzał długie godziny, siedząc przy kuchni na taborecie. Ćwiczył samotne potęgowanie gorących procentów, które kapaly cienką rurką wprost do butelki. Nie mogąc się doczekać, aż się napełni czystą duchowością, pił je jeszcze ciepłe i parujące. Wykrzywiały mu mordę, a on, rozpromieniony, wciąż powtarzał: „Ale dobre!”. Miałem wtedy przerwę w edukacji, choć nie do końca, bo, przesiąknięty rachunkami jak rękawiczka mokrym śniegiem, mimowolnie obliczałem objętości brył, bawiąc się białym puchem. Dokładnie policzone kule

cd. na str. 34.

cd. ze str. 33.

były niezbędne do ulepienia symetrycznego bałwana, którego zawsze starałem się zrobić na obraz i podobieństwo ojca, co niekiedy, nie powiem, nawet się udawało. Potwierdzały to, zazwyczaj mało ze sobą zgodne, dwie siostry i jedna matka. Natomiast z sześcianów ciosanych szpadlem powstawał bunkier, bym miał się gdzie schronić, gdyby nie daj boże, po piaku, przyszedł mu pomysł uczenia mnie chemii. Często chciałem zdezertować, gdzieś uciec, choćby nawet do Moskwy, ponieważ coraz bardziej odczuwałem całkowitą różnicę pomiędzy stałym i ściśle określonym rozumem Bronka, a moim płynnym i nieoznaczonym intelektem. Mózg ojca przykrywał szczelny klosz, firmament, ponad którym nie istniały inne światy. Pozycje gwiazd były określone raz na zawsze, niezmiennie jak jego charakter. Sprawiał wrażenie wszechwiedzącego i niestworzonego, podczas gdy ja odnosiłem wrażenie, że pochodzę z pierwiastków dawno wymarłych ciał niebieskich i wybuchów supernowych. Być może dlatego po dziś dzień jestem taki niestabilny i nerwowy.

Miało to miejsce niedługo po przyjeździe do Czarnej Wieży. Nie pamiętam dokładnie, ile miałem lat, ale z pewnością niewiele, i chyba nie chodziłem jeszcze do szkoły. Naszym sąsiadem był niejaki pan Szparło. Bałem się go okropnie, ponieważ słyszałem o nim dziwne opowieści, a że to czarownik, a że hochsztapler i krętacz, że odprawia jakieś dziwne obrzędy, i w ogóle, że ma wiedzę tajemną. Podobno robił z kocich skórek futra, a mięso zjadał. Nie wiem dlaczego, ale od początku uważa-

łem go za Niemca, w znaczeniu „niemego”, posługującego się niezrozumiałym i zagadkowym dla autochtonów językiem, choć jego nazwisko wskazywało raczej na litewskie pochodzenie. To by wyjaśniało mój strach przed nim, bo o Germanach w kontekście wojny słyszałem najczęściej złe rzeczy.

W którymś momencie wyrosła na mojej dolnej wardze brodawka. Przeszkadzała, więc co rusz ją skubałem. Często do krwi. A ona rosła i rosła, aż w końcu była tak duża i obwisła, że gdy szedłem za ojcem orzącym konikiem poletko na ziemniaki przylegające do posesji pana Szparły, zobaczył ją również i on.

– Uuuuu! Kurka wodna, jaka brzydka kurzajka, przyjdź no do mnie chłopcze, jak skończysz, może coś na tę narośl poradzę.

Ojciec spokojnym głosem odparł:

– Panie, weź pan się odczep, to samo zniknie, a jak nie, to wypalimy to siarką z zapalek.

Z duszą na ramieniu, schowany za Bronkową nogawką, przysłuchiwałem się dalszej rozmowie. Coś tam sobie pobajdurzyli o orce polującej na foki i inne uszatki i się rozeszli, a brodawka żyła swoim życiem w najlepsze. Słowa Szparły nie dawały mi spokoju. Może rzeczywiście jest w stanie pomóc mojej wardze? Może zna jakieś zaklęcie, które zniszczy zarazę od środka? Od tego gdybania dostałem zawrotów głowy, a natrętnie myśli opanowały mnie bez reszty. Rzykując niemal zdrowie, po około dwóch tygodniach psychicznych przygotowań, w końcu odważyłem się podejść do ogrodzenia, przy którym rosła maggia i zawołałem:

– Panie Szparło? Jest pan? To ja, sąsiad! Boję się pana, dalej nie wejdem, proszę do mnie podejść!

– No, co tam, mały? Co cię sprowadza?

– Brodawka.

– Widziałem, rzeczywiście, szpetna bardzo.

– Pomoże mi pan? Nie chcę kwasu ani siarki, widziałem u kolegi, jak sobie wypalił na rękach, zostały blizny.

– Tak, chemia na twarzy to niezbyt dobre lekarstwo, znam coś lepszego.

– A co? Czary? Tego też się obawiam, może nawet bardziej niż żrącej substancji.

– Nie trzeba bać się wiedzy tajemnej, ona z dziada pradziada ratuje ludziom życie i chroni od złych mocy.

– Co mi pan zrobi? Jestem przerażony tym, co pan mówi, nie sfiksuję od tego?

– Ha, ha... chłopczyku, znam pewne zaklęcie, a raczej niezwykłą czynność, którą sam musisz wykonać – a więc, weź kawałek nitki, stań tyłem do studni, zawiąż na wskazującym palcu prawej dłoni supełek podobny do obrączki, i jak już go zrobisz, ściągnij z palca i wrzuć go przez lewe ramię do studni, ale się nie oglądaj, a później zapomnij o tym.

– I to wszystko?

– Tak, to całe czary.

– Dziękuję panu, panie Szparło, lecę po nitce do kłębka. Do widzenia.

W domu odciąłem kawałek sznurka do cerowania skarpetek i pobiegłem czym prędzej do starej studni, stojącej na wzgórku podwórka. Studnia dawno już wyschła i ojciec wrzucał do niej co popadło, starając się jak najszybciej ją zasypać, w obawie, że do niej wpadnę na chwilę posłuchać echa, łamiąc grzbiet przy okazji. Wodę dostarczał już w owym czasie wodociąg z pobliskiej głębiny. Stałem więc do niej tyłem, ale, ponieważ jestem praworęczny, nijak nie mogłem zawiązać supła. Mordowałem się z godzinę, a później ryczałem bezsilnie jak zarzykana owieczka. W końcu dałem spokój

i ponownie udałem się do czarodzieja. Stojąc przed furtką, z oczami czerwonymi jak u królika albinosa, krzychałem zrozpaczony:

– Panie Szparło, katastrofa! Nie mogę zrobić węzła!

Na co mój mistrz duchowy parsknął takim śmiechem, jakby napalił się dobrze wysuszonej trawy z pierwszego sianokoszenia.

– Nie przejmuj się, tego nie wziąłem pod uwagę. Dam ci kolejną dobrą radę. Słuchaj, musisz ukraść ziemniaka, obojętne od kogo, byleby nie ode mnie...

– To może od sąsiadki, pani Szpakowiczowej.

– O! To dobry pomysł, od sąsiadki może być, zakradnij się do piwnicy, tak żeby nikt cię nie widział, i jak będziesz go już miał w swoich rękach, to go przekrój na pół nożem i zakop jedną połówkę pod okapem swojego domu, wiesz, w tym miejscu, gdzie jest taka bruzda wzdłuż ściany, którą żłobi woda, ściekając z dachu wprost do ziemi, łatwo ją znajdziesz, bo zazwyczaj rośnie tam mniej trawy, a większą jej część stanowią drobne kamyczki. Drugą połówkę wyrzuć gdziekolwiek, najlepiej do lasu, niech ją dziki zjedzą. Zrozumiałeś wszystko?

– Tak, to proste, co pan mówi: iść, ukraść, przeciąć, zakopać, wyrzucić. Ale gdzie tu siła magii?

– Nie zastanawiaj się, tylko działaj, sam się przekonasz. I pamiętaj, abyś później o tym wszystkim, co zrobiłeś, zapomniał. O brodawce również, że ją masz i że ciebie denerwuje.

Ta ostatnia część zadania była niemalże niewykonalna. Z resztą poszło gładko. Ale zapomnieć o brodawce nie mogłem. Czekałem z niecierpliwością, kiedy zaczną działać gusła, i czy w ogóle zaczną, czy narodzi się albo odpadnie, a im więcej o tym myślałem, tym

bardziej nic się nie działo. Byłem załamany, bo minął tydzień, a może i drugi, aż w końcu, zły na całe to czarodziejstwo, uznałem je za głupstwo i już nie poszedłem do pana Szparły. Podobnie jak inni ludzie, zacząłem go brać za krętacza i oszusta. Po stwierdzeniu faktu, iż dałem się nabrać szarlatanowi, zająłem się zwykłym życiem. Ganiałem za motylami do upadłego, w przerwach wydłubując chrząszcze z dłuźyc, których całe stopy leżały na pobliskiej składnicy. Z ojcem w lesie oznaczaliśmy drzewa do wyrębu, najczęściej świerki, zaatakowane przez tajnych drukarzy kolportujących ulotki. Ówczesna władza uważała te nielegalne zakłady poligraficzne za zarazę i tępiła, jak mogła. Oznaką, że siedzą w drzewie i konspirują, był efekt uboczny w postaci białego proszku do prania na jego pofalowanej korze, co natychmiast wychwytywał Bronisław swym węchem.

– O! Widzisz łyku, tu siedzą przestępcy! Chcą rozwalić system od wewnątrz. Nie pozwolimy im na to, socjalizm zwycięży!

Brał siekierę i robił na pniu znak krzyża, mówiąc przy tym:

– Pojutrze zginiecie w ognisku, przy którym ja z leśnym ludem, pijąc wódkę na pohybel spiskowcom, z radością będę słuchał, jak pękają w ogniu wasze panczerze, nie obronicie się przed żarem czerwonej idei, o nie! Amen.

Na dobre zostawiłem pamięć o brodawce gdzieś w ostępie, walcząc u boku ojca z wywrotowym elementem. A gdy sobie o niej przypomniałem niechcący, chcąc ją skubnąć jak zazwyczaj, to się okazało, że jej nie ma, że zniknęła, nie pozostawiając śladu. Moje zdumienie nie miało końca. Jak to? Tak sama z siebie odeszła? To niemożliwe? Niech mi ktoś to wyjaśni! Rany boskie! Czym prędzej pobiegłem do matki.

– Mamo! Spójrz! Nie mam brodawki!

– Zdarza się, synku, one same giną.

– Ale mamo! To dzięki magii pana Szparły!

– Bój się Boga! Nie chodź do niego, to bazarz, przybłąkał się nie wiadomo skąd i piątą wodę po kisielu w lepetynie ci robi. On nie ma żadnej wiedzy, to za bobon. Chryste! Hoduję w swoim domu pogan! Ojcu już nic nie pomoże, ale ciebie można jeszcze uratować. Jutro jedziemy do kościoła.

– Ale mamo! Ja nie chcę!

Następnego dnia Barbara, nie mając miłosierdzia dla innowiercy, kazała wsiadać na rower i zapieprzać w ślad za nią na drugi koniec Czarnej Wieży, gdzie wznosiła się strzelista biała baszta, która z daleka wydawała się być zbudowana z kości słoniowej, przykryta brunatną skórą żubrów, których płała się po okolicy od czorta. Gmach świątyni był zimny i nieprzyjemny. Wiało od niego takim chłodem, że woda w aspatorium prawie przez cały rok była zamarznięta. Ludzie gładzili się więc lodem po głowie i robili święty znak, znikając w kriogenicznej komorze świetnie hibernującej mózgi wiernych. Co prawda na godzinę, ale zawsze to coś, wszak życie przedłużone o godzinę pomnożone przez ileś tam razy daje całkiem niezły wynik. Chyba od przebywania w tym przybytku matka dostała reumatoidalnego zapalenia stawów, bo latała tam niemal codziennie. Jak ja się cieszyłem, gdy opuszczałem to igloo! Wychodząc na ciepłe powietrze, czułem, jak moje serce odtajało wraz z pierwszym słonecznym promieniem, jak u Kaja, choć nie płakała nade mną żadna księżniczka zamknięta na klucz w zamku typu Gerda. Radość była przeogromna, i kiedyś tak byłem tym faktem podniecony, że zataczając się ze szczęścia

cd. ze str. 35.

po całej drodze, mój rower szczył się pedalem z kołem matki. Pierdyknęliśmy oboje na asfalt, a Basia, wściekła i poobijana, jakby przejechał po niej autokar, z zakrwawionym kolanem i zdartą skórą na rękach, wykrzyczała tylko:

– O Jezu! Jak jeździsz, patafianie! W domu się porachujemy, za zniszczone rowery zapłacisz gotówką ze swojej świńskiej skarbonki. Zobaczysz jak to boli. Nie będzie na lody.

A później ojciec naciągał szprychy przez pół dnia, prostując obręcz w matki bicyklu. Mój grat nie ucierpiał prawie wcale, poza skrzywioną kierownicą i pękniętym znaczkiem odblaskowym.

Tak czy siak, w kościele, przyjmując komunię, czy inne oleje i smary, nigdy nie odczułem tego, co dał mi magiczny obrzęd pana Szparły. Chrześcijaństwo podszyte judaizmem nie było w stanie okiełznać i zniszczyć podskórnego żywiołu. Odległej religii przywiezionej w księdze nie cierpiałem. Wszystko brzmiało obco, począwszy od imion, nazw miejscowości, krajów i ludów je zamieszkujących, a kończąc na rycie zwanym paschą. Wiedziałem natomiast, co znaczy przywitać kogoś chlebem i solą. A już najbardziej

niezrozumiały był dla mnie krajobraz. Niekończące się pustkowia, nieurodzajne gleby i prawie kompletny brak życia. Wcale się nie dziwię, że nomadzi mieli jednego boga i do tego zakazano im wykonywania jego podobizn, bo ciężko było przemieszczać się z owcami i kozami przez kilometry nieużytków, ciągnąc ze sobą na grzbiecie świątynie pełne bóstw i bóstewek, w poszukiwaniu źdźbła trawy dla swojej trzody. Zakaz był jak najbardziej sensowny. Na luksus posiadania większej ilości bogów mogli pozwolić sobie jedynie tubylcy, mający państwa i stałe siedziby, a nie koczownicy, tułający się po świecie, albo – co gorsze – przebywający w niemal nieustannej niewoli. Ponieważ nie mieli swojego miejsca w czasie i przestrzeni, a ich ziemia obiecana spowita była mgłą tajemnicy, to również bóstwo musiało być odległe i niezadomowione na żadnym znanym terenie. Swojego boga umieścili więc w zaświatach, by był z nimi wszędzie i nigdzie jednocześnie. Jałową ziemię, po której chodzili, przesykali do skrzynki, zatraskując wieko przed wiernymi, by lud myślał, że znajdują się tam jakieś cuda i niestworzone rzeczy, a nie kamienne płyty, które jedyne, co mogą, to się rozsypać. Na dokładkę, dla pewności, uwięzili go w księdze, gdyż książka jest bar-

dzo poręczna i nie zabiera dużo miejsca. Wszystko pasuje jak ulał do władającego nimi ducha pustyni. Duch zamknięty w morzu martwym hebrajskiego pisma, pod postacią nieożywionej litery prawa, był dla mnie niestrawny. Chrystus co prawda próbował tchnąć w to wszystko odrobinę wolnej miłości, ale jego naukę również szybko spacyfikowano, a wolną miłość poddano kodyfikacji. Idealnie bowiem nadawała się do sprawowania władzy nad rządem dusz chcących się kochać na najrozmaitsze sposoby.

Język żywego słowa toczył się dookoła chłodu kościoła. Rozumiałem wyłącznie dźwięki ulotne, wypowiedane tu i teraz, przekazywane z ust do ust, od ucha do ucha. Uwielbiam bowiem ten niekończący się szelest wiatru w nadrzecznej trzcinie. Raduje mnie majestatyczny ruch żurawia przemierzającego podmokłą łąkę, gdy zapuszcza ciekawskie spojrzenie w nurtujący go strumień świadomości. Lubię kluczyć nieskrępowanym wzrokiem między obłokami dzikich gęsi, które odlatują gdzieś daleko, a później czekać na rozstaju dróg na ich rychły powrót. Wszystko zdawało się do mnie mówić w nadnaturalny sposób: „Uważaj, książki zawsze są podejrzone, jedynie przyroda nie kłamie”.

STANISŁAW KWIATKOWSKI

– urodzony w Hajnówce. Z wykształcenia filozof, absolwent Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Ma dużo wolnego czasu, który przeznaczają na pisanie. Obecnie mieszka w Radomiu.